

AŁBENA GRABOWSKA

КОСЦИ
PRO-
ROKA

MARGINESY



AŁBENA GRABOWSKA

**KOŚCI
PRO-
ROKA**

MARGINESY

Mojej rodzinie

COPYRIGHT © BY Ałbena Grabowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

*Natura ludzka jest zawsze i wszędzie
mniej więcej jednakowa.*

Agatha Christie

ZIEMIA ŚWIĘTA, I WIEK

Trzeciego dnia po pierwszym wiosennym nowiu trzydziestego trzeciego roku po ukazaniu się na niebie gwiazdnego drogowskazu opuściłem żonę i ruszyłem za Nauczycielem. Uczynili tak inni moi bracia rybacy, a każdy z nas miał powód, aby skazać kobiety i dzieci na sierocy los. Nauczyciel, który nas wezwał, twierdził, że to szczególne wezwanie pochodzi nie bezpośrednio od niego, lecz od owego Wielkiego Proroka czy też Mesjasza. Naucza on w naszych stronach i skłania nas – biednych, uciemionych Żydów – do buntu. Przyłączyłem się zatem do jedenastu braci i już drugi miesiąc wędruję za Nauczycielem, przymierając głodem. Czasem wątpię, że tego właśnie żąda ode mnie dobry Jahwe.

Kiedy cichcem niczym złodziej opuszczałem domostwo, przebudziła się moja żona Rebeka. Zamarłem w oczekiwaniu na łzy i słuszne żale. Ona jednak przewróciła się tylko na drugi bok i ponownie zasnęła. Do świtu, czasu oporządzenia zwierząt, pozostały jeszcze dwie godziny, nie miała zatem powodu, aby wstać. Później zastanawiałem się, czy Rebeka wiedziała, że zamierzam opuścić ją na zawsze. To przecież od niej pewnego deszczowego dnia dowiedziałem się o Mistrzu czyniącym cuda. Przytaczała relacje innych osób, a jej oczy wyrażały wielki podziw. Wydawało mi się, że bezgranicznie wierzy w słowa zasłyszane nad rzeką od jednej z kobiet, która dowiedziała się od innej, a tej z kolei opowiedziała jeszcze inna, będąca ponoć świadkiem owych cudów.

– Mówią, że wypędza z ludzi choroby i Szatana... – Zniżyła głos, aby jej słowa nie dotarły do naszej córki Miriam.

– Jest kapłanem? – zainteresowałem się. Wcześniej mówiono mi na nabrzeżu, że chromi od urodzenia zaczynali fikać koziołki, kiedy tylko ów Mistrz pojawiał się otoczony swoimi wyznawcami.

– Nie, nie jest kapłanem, chociaż jest uczony w piśmie. To rybak jak ty, mój mężu.

– Rybak? – Nie kryłem zdumienia. – Utrzymuje rodzinę z łowienia ryb?

– Z tego, co mi wiadomo, on nie ma żony ani dzieci. – Rebeka lekko się zarumieniła.

Zgromiłem ją wzrokiem, więc umilkła i wróciła do swoich zajęć. Skoro ten prorok czy uczony rybak nie ma rodziny, to może sobie chodzić po Galilei i wygłaszać kazania. Ja muszę co dzień wypływać w morze i modlić się o dobry połów. A nawet jeśli dopisze mi szczęście, za ryby dostaję tyle co nic, tyle zaledwie, byśmy nie pomarli z głodu, kupili odzienie i czasem dali jałmużnę żebrakowi w świątyni. Byłem jednak głęboko wdzięczny Jahwe za wszystko, co mi ofiarował.

Rebeka nigdy więcej nie wspomniała imienia Proroka, jakby wiedziała, że właśnie wydobyla niebezpieczną broń, ostry miecz, który niechcący skierowała przeciwko sobie. Tego dnia bowiem coś zmieniło się w moim sercu, obudziło się nasienie buntu. Musiało tkwić we mnie od dawna, ale pod wpływem jej słów zakiełkowało i zaczęło wypuszczać listki, na początku nieśmiało, potem coraz odważniej, aż opuściłem dom.

Mój Nauczyciel uczył się od samego Mistrza. Nie zachęcał nas do zadawania pytań, twierdził wręcz, że nie zna odpowiedzi na żadne z nich. A zatem dociekaniem, czemu opuściłem dom, zająłem się ja sam. Czy byłem chory? Nie. Cieszyłem się dobrym zdrowiem, podobnie jak moja rodzina. Czy zbrzydła mi żona? Nie. Miałem piękną, bogobojną, pracowitą i posłuszną żonę. Czy

dokuczało mi liczne potomstwo? Nie. Doczekaliśmy się ślicznej i zdrowej córeczki. Owszem, chociaż lata mijały, Rebeka nie dawała mi syna. Z jednej strony pragnąłem spadkobiercy, z drugiej – wiedziałem jednak, że niewiele mu pozostawię: chatę rybacką, łódź jeszcze po moim ojcu, sieci i przede wszystkim dobre rady, kiedy i dokąd płynąć, by cieszyć się obfitym połowem.

Nauczyciel opowiada nam historie przekazane mu przez Mistrza. Jedne wywołują mój podziw, inne – gniew. Choćby ta o rybach. Otóż pewnego dnia uczniowie narzekali na marny połów. Mistrz, usłyszawszy to, kazał im, by popłynęli w inne miejsce, znajdujące się niemal tuż obok poprzedniego. Posłuchali go, choć niechętnie... Ponoć ryb było tam tyle, że pozrywały sieci. Ta historia rozgniewała mnie z dwóch powodów. Po pierwsze marnych połowów miałem mnóstwo i nikt nigdy nie wskazał mi miejsca, w którym znajdowała się ławica. Po drugie po co rybakowi sieć wypełniona po brzegi i tym samym rozerwany niewód? Po co rybakowi tyle ryb, że mogą zatopić go wraz z łodzią? Nauczyciel nie wyjaśnił, czy uczniowie poczuli rozczarowanie, że pozornie dobra rada Mistrza spowodowała zniszczenie ich narzędzia pracy. A ja nie odważyłem się o to zapytać.

*

Rebeka przyszła do mnie we śnie jako ucieleśnienie wyrzutów sumienia.

– Czemuś nas opuścił? – żaliła się.

– Czyż nie jest moją powinnością pójście za głosem Boga, a twoją powinnością bycie posłuszną jego woli?

Spojrzała z takim smutkiem, że odwróciłem głowę.

– Gdybyś szedł za głosem Boga, pogodziłabym się z tym.

Obudziłem się targany niepewnością. Zdarzały się noce, kiedy Rebeka śniła mi się długo, oskarżała mnie o okrucieństwo wobec niej i córki, o to, że skazałem ją na samotne życie.

– Zwróciłam się do starszyny – powiedziała w jednym z majaków. – Samuel zdecydował, że jeśli nie wrócisz do letniego przesilenia, zostaną mi przyznane prawa wdowy. Wtedy wybiorę sobie męża zgodnie ze swoją wolą. Może on spłodzi ze mną syna?

– Wrócę i zostaniesz ukamienowana jak pierwsza lepsza jawnoгрzesznica. Wieloność jest grzechem ciężkim i przestępstwem, kobieto – skarciłem ją, zaciskając dłonie w pięści.

Zaśmiała mi się w twarz, a następnie bez szacunku zaczęła szarpać mnie za ramię. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że szarpie mnie nie Rebeka, lecz jeden z naszych, Ezdrasz, chłopak z naszej wioski, który także postanowił dołączyć do Nauczyciela i iść z nim w nieznaną.

– Bracie Arielu, ruszamy...

Musiałem coś bredzić w nocy, ponieważ unikał mojego wzroku. Chciałem to wyjaśnić.

– Bracie Ezdrasz, patrzysz na mnie z obawą. Pewnie mówiłem coś przez sen. Czy nie wiesz, że kiedy człowiek śni, jest zdany na łaskę i niełaskę tego, co sen zsyła?

– Sen dany nam jest od Boga albo Szatana. Twój pochodził od Szatana, bo mówiłeś o jawnoгрzesznicy.

Pokręciłem przecząco głową.

– Śnił mi się jeden z archaniołów. Przyniósł mi wieści z domu – skłamałem. – Moja żona jest zdrowa, pogodzona z moim odejściem. Córeczka także. Skąd wzięłaby się jawnoгрzesznica? O grzechu bezbożników, który chciałem zmazać przez to, com uczynił...

Milczał, ale czułem, że mi nie uwierzył. Muszę na niego uważać. Czemu w nielicznej gromadzie podążających za Nauczycielem musiał trafić się akurat ktoś z mojej wioski? Kolejne pytanie, które zadawałem samemu sobie.

– Czy ty wątpisz, bracie Arielu, w słuszność swojego wyboru? – zainteresował się nagle. – Sam Mistrz kazał, byśmy zostawili wszystko i podążyli za nim.

– Kim byłbym, gdybym nie posłuchał Jego głosu? A za kogo byś mnie uważał, gdybym ci powiedział, że nie poświęcam ani jednej myśli żonie i córce, które porzuciłem?

Ezdrasz schylił głowę, wkrótce wyprzedził mnie i zaczął iść obok brata Samuela, milczącego, niewysokiego mężczyzny, o mocno umięśnionym ciele. Ja zaś pogрузyłem się we własnych myślach. Najważniejsze dotyczyły Rebeki. Czy dochowa mi wierności?

PŁOWDIW, XXI WIEK

Upał i kurz. Kurz i upał. Przekłęte miasto. Nie, nie przekłęte. Przecież je kochasz, Margarito. Nieprawda. Kochałam je kiedyś, zanim mnie wchłonęło i wypluło. Nieprawda, Margarito. To Angeł najpierw cię wchłonął, a potem wypluł. Miasto nie miało z tym nic wspólnego. No dobrze, kocham je. Zadowolona?

Zadzwonił telefon, pewnie służbowy, bo bułgarski numer, muszę odebrać.

– Margarita Nowak, słucham...

– Cześć, Gitka, jak spałaś?

Spałam mocno i śnił mi się Angeł, którego niby wyrzuciłam z pamięci osiem lat temu. Na szczęście nic nie mówił, siedział tylko i patrzył z uśmiechem na twarzy pokrytej modnym wtedy zarostem.

– Dziękuję, dobrze spałam. Mam zaraz przyjść?

W moim głosie zabrzmiała niechęć. Musiał ją wyczuć, bo się zawahał. Co myślał? Że tęsknię za starymi przyjaciółmi z podwórka albo dawnymi kolegami z wydziału archeologii? Że tęsknię za nim, zawsze roześmianym, a do tego najmilszym i najbardziej koleżeńskim Bułgarem, jakiego poznałam w tym cholernym mieście? Nie mylił się, tęskniłam za nim, ale nie widziałam go osiem lat. I miałam opory przed pierwszym spotkaniem.

– Wiesz, Gitka... Wolałbym, żebyś przyszła zaraz. Przecież nie będziesz się aklimatyzować ani robić innych takich głupot, co?

Tylko Dimityr Paunow, starszy oficer wydziału kryminalnego w Płowdiwie, mówi do mnie Gitka. Nienawidzę swojego imienia. Margarita... Matka musiała zwariować, skoro wybrała właśnie to. Kiedy byłam mała, inne dzieci wyśmiewały się z niego. Często podczas zabawy w piaskownicy miałam wrażenie, że mnie zatłuką łopatkami. Próbowałam kłamać, że mam na imię Małgosia. Gdyby w papierach napisano „Małgorzata Nowak”, mogłabym być inną osobą. A na wakacjach w Bułgarii przedstawiałabym się jako Margarita. Wszyscy byliby zadowoleni.

– Gitka, usnęłaś?

– Dobrze, Dimityr, w porządku, zaraz będę. Mam przyjść na komendę?

– Za pół godziny czekam na ciebie przed Dżamiją. Pójdziemy od razu na miejsce, gdzie znaleźliśmy ciało, dopiero potem na komendę.

Wynajęli mi kwaterę w centrum Płowdiwu, przy ulicy Georgiego Benkowskiego. Sypialnia, hol, kuchenka, łazienka z toaletą. W środku, co częste w Bułgarii, brak kabiny prysznicowej, słuchawka zwisająca ze ściany, ale nie wiedzieć czemu nie zdenerwowało mnie to. Mogłabym się wkurzyć, gdyby zamiast sedesu była laminowana dziura w podłodze. Tego w tym kraju nienawidzę: załatwiania się w kucki, jak w lesie. Brr.

Szybko włożyłam cienkie luźne spodnie i białą bluzkę z krótkimi rękawami. Już wczoraj wybrałam ten zestaw na pierwsze spotkanie. Chciałam zrobić dobre wrażenie po latach, a jednocześnie wyglądać tak, jakbym się nie przejmowała.

Dimityr wcale nie stał przez meczetem, tylko siedział w kawiarni i pił kawę. No tak, mogłam się tego spodziewać. Podeszłam, uśmiechnęłam się po dawnemu, przyjrzałam mu się uważnie. Zerwał się z miejsca. Trochę zmężniał, poza tym nic się nie zmienił. Wysoki, ciemny, przystojny. Ładne zęby i wesołe oczy. Musiał mieć wiele kobiet przez te lata.

– Gitka! – Zagwizdał z podziwem. – Piękna jesteś.

W tym kraju się gwizdże: to komplement. I wiedziałam, że szczerzy.

– Nic się nie zmieniłeś. – Usadawiłam się na chybottliwym stołeczku. – Może jesteś szerszy w barach. Ale tylko trochę.

Podeszła kelnerka.

– Przedłużone espresso – zamówiłam. – I szklanę wody z kranu.

Pokręciła głową. Oni tak mają. Kiwanie głową oznacza „nie”, kręcenie – „tak”. To pozostałość z czasów zaboru tureckiego. Kiedy Turek przystawiał Bułgarowi nóż do gardła i pytał, czy przyjmie islam, „tak” oznaczało życie, „nie” – śmierć. Dlatego Bułgarzy wymyślili odwrotny kod, aby i przeżyć, i zachować wiarę.

– Jadłaś coś? – zatroszczył się Dimityr, kiedy sączyliśmy kawę. – Przepraszam, że cię poganiałem, ale cisną nas ze śledztwem. Na śniadanie masz jednak czas. Mizerna jesteś. Dopilnuję, żebyś jadła.

– Lepiej, żeby nie zaczęła jeść banic ani milinek – stwierdziłam z przekąsem. – Ciężko pracowałam nad swoją figurą.

– Nie zaszkodzą ci na figurę. – Uśmiechnął się. – Pomożesz nam, więc szybko się uwiniemy ze sprawą i niedługo wrócisz do siebie, do tej twojej zimnej Polski, do której mnie nigdy nie zaprosiłaś.

Zaśmiałam się i szturchnęłam go łagodnie. Zawsze go zapraszałam do Polski. Kiedy przerwałam studia na archeologii i wróciłam do kraju, on jeden wiedział, dlaczego to zrobiłam. Na początku dzwoniłam regularnie, mówiłam, jak się urządziłam, gdzie jestem, co robię i za każdym razem powtarzałam zaproszenie. Zawsze obiecywał, że przyjedzie. Może latem, mówił, bo u was zimą przecież trzyma straszny mróz. Późną wiosną stwierdzał natomiast, że latem też jest zimno, a on musi jechać nad morze. W polskim morzu nie popływa... I tak mijały kolejne lata. Powoli zacierało się wspomnienie naszego ostatniego spotkania

na lotnisku. Zanim weszłam do samolotu, tłumaczył mi, że nie powinnam uciekać, że robię duży błąd i żebym się zastanowiła przez wakacje, odpoczęła, a potem wróciła. Do Bułgarii, do Płowdiwu i do niego. To ostatnie dodał z krzywym uśmiechem, lekko zdławionym głosem. Nie wróciłam. Przeniosłam papiery na psychologię, skończyłam ją, podjęłam pracę w szpitalu na oddziale hematologii. Tam, otoczona prawdziwym nieszczęściem, zapominałam o urojonym własnym. Dzwoniłam również kilka razy do Kaliny, mojej byłej przyjaciółki, ale do niej mniej chętnie, bo przecież to ona poznała mnie z Angełem, a on wybrał ją. Kalina zaprosiła mnie na swój ślub. Dowiedziałam się, kto jest panem młodym, i rzecz jasna nie przyjechałam. Kalina się obraziła. Skorzystałam z pretekstu i więcej się do niej nie odezwałam. Słyszałam, że pojechali do Sofii, że urodziła im się córeczka, ale nie znałam jej imienia.

Bułgarscy archeolodzy ciągle coś wykopują: ruiny trackie i rzymskie, amfiteatry, ostatnio nawet arenę wielką jak cała Sofia. Powinni zburzyć Sofię, jeśli chcieliby to wszystko wyciągnąć na powierzchnię. Kalina na pewno nie narzeka na brak pracy. Nie należała do specjalnie zdolnych studentek, ale była szalenie ambitna, no i skończyła studia, w przeciwieństwie do mnie. W Sofii jest pod dostatkiem barów, więc Angeł też ma na pewno dobrą pracę, świetne napiwki i kobiet na pęczki. Dimityr nie studiował z nami, od dziecka chciał być policjantem. Świrował na tym punkcie, choć nikt nie traktował go poważnie. „Będę łapał przestępców, mówil, więc uważajcie”. Interesował się bronią, uczył walki wręcz. Namiętnie oglądał seriale o detektywach, bardzo lubił polskie filmy, najbardziej *Vabank*.

Nasze babcie się przyjaźniły, my – siłą rzeczy – też. Dimityr zaproponował, że zabije Angeła za to, co mi zrobił. Szkoda, że się nie zgodziłam. Może byłabym teraz mniej zbuntowana i nie-szczęśliwa? Tyle że on nie zostałby policjantem...

Nie mieliśmy ze sobą kontaktu trzy lata. Niespodziewanie zadzwonił tydzień temu i od razu przeszedł do rzeczy, jakbyśmy gadali wczoraj, jakby wiedział, że z marszu mogę się spakować, wsiąść do samolotu i przylecieć do Płowdiwu, bo wiodę życie nijakie i bez celu.

– Hej, Gitka, ja w sprawie tego morderstwa, wiesz...

W teatrze antycznym w Płowdiwie pewnego czerwcowego poranka znaleziono nagie zwłoki mężczyzny pokryte trackimi symbolami. Przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów. Co ciekawe, ciało rozpięto na krzyżu, wykonanym z dużą pieczołowitością, a głowę odcięto i położono na tacy umieszczonej obok krzyża. Sekcja wykazała, że mężczyznę otruto. Bułgaria, piąte koło u wozu Unii Europejskiej, nagle stała się tematem numer jeden we wszystkich telewizjach na świecie. Najpierw morderstwo powiązano z terrorystami ze względu na to, że ofierze odcięto głowę. Wiadomo, takie mamy czasy. Szybko jednak tę hipotezę porzucono. Terrorysta raczej wysadziłby się podczas jednego z letnich przedstawień operowych, niż robił widowisko z ukrzyżowaniem. A kiedy zidentyfikowano ofiarę, sprawa przestała być jedynie bułgarska. Śledziłam doniesienia prasowe i programy telewizyjne. Ofiarą okazał się Przemysław Tarkowski, biznesmen z Warszawy, eksposeł na sejm, działacz społeczny, kawaler. Stąd telefon do mnie. Najpierw od Dimityra, potem z Ambasady Republiki Bułgarii w Warszawie, następnie z ambasady polskiej w Sofii, wreszcie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Komendy Głównej Policji, z którą kilka razy współpracowałam, kiedy moi nieletni pacjenci narozrabiali.

– Chcą kogoś zatrudnić z Polski, to jasne. Od razu pomyślałam o tobie – stwierdził z naciskiem Dimityr.

– Dlaczego o mnie?

Nie kryłam zdziwienia. Nie widzieliśmy się od ośmiu lat, nie słyszeliśmy od trzech i przysięgam, nie przyszło mi do głowy, że

wpadnie na pomysł, abym to ja pomagała im w śledztwie. Zresztą nie wiedziałam, że to on je prowadzi. W czym miałabym być przydatna? Przecież porzuciłam archeologię.

– Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Dana Browna, tylko nie miałem jego numeru. No i podejrzewam, że on by mi nie pomógł tak jak ty. Studiowałaś archeologię, pasjonujesz się Rzymem i Tracją, skończyłaś psychologię, mówisz po bułgarsku, a ofiara to Polak znaleziony w bułgarskim teatrze antycznym...

– Rozumiem – przerwałam. – Co miałabym niby robić? Nie macie u siebie specjalistów od kultury rzymskiej i trackiej? Przecież już nic nie pamiętam ze studiów, potem zajmowałam się czymś innym.

– Przyjedź i pomóż w przesłuchaniach. Utknęliśmy w martwym punkcie, nic do siebie nie pasuje. Koszmarna sprawa. Z jednej strony nas naciskają, z drugiej wydają się zapominać o tym biedaku. W Polsce nie miał rodziny, w Bułgarii też nikogo. Z Polakami w ogóle nie możemy się dogadać.

– Co miałabym u was robić? – domagałam się konsekwentnie odpowiedzi. Serce biło mi szybko, poczułam dawny lęk. Przyjadę do Płowdiwu i co dalej? Chcę tam pojechać czy nie chcę? I co powie na to moja matka?

„Problem z tobą, Margarito, polega na tym, że nie wiesz, czego chcesz, i na domiar złego nie masz pojęcia, czego nie chcesz. Użalasz się nad sobą nieustannie. Czego się boisz?”... Niczego się nie boję, ja tylko...

– Przybliżyc nam Trację, znaleźć jakieś powiązania między tym Polakiem a teatrem antycznym. Nasza psycholożka jest bezradna, chociaż to mądra kobieta. Wiem, że trochę współpracowałaś z policją w Polsce. – Jego głos był mocny, odrobinę natarczywy.

W końcu obiecałam, że się zastanowię. „Właściwie czemu nie”, pomyślałam. Zaskoczyła mnie stanowczość tej myśli. Wrócić do Płowdiwu, zobaczyć ruiny, pić bożę, jeść banicę, chodzić

do ogrodów cara Symeona. Odciąć się od przeszłości. Nie bać się, że spotkam Anę. Przecież on jest w Sofii.

– Naprawili śpiewające fontanny – kusił Dimityr.

– Ty draniu! – Roześmiałam się w słuchawkę. – Masz mnie!

Uwielbialiśmy je jako dzieci. W ogrodzie cara Symeona wieczorem włączano fontanny, a my patrzyliśmy na nie z rozdzielonymi buziami. Strugi wody strzelały pod niebo przy akompaniamencie muzyki, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Mogłam je codziennie oglądać. Później fontanny przestały śpiewać i niszczały pełne śmieci. Uznałam je za symbol swojego życia i historii z Aną. Naprawdę je teraz naprawili?

– Nie okłamujesz mnie?

– W sprawie fontann nigdy bym cię nie okłamał – zapewnił.

– Słowo pioniera. To co? Mam uruchamiać procedury?

Zaczęłam się pakować i załatwiać sprawy. Wzięłam bezpłatny urlop w szpitalu, co nie spotkało się z entuzjazmem, bo akurat druga psycholożka też była na urlopie. Nawet nie pomyślałam o tym, że we wrześniu kończy mi się umowa, więc po powrocie mogę nie mieć pracy. Przeprowadziłam dramatyczną rozmowę z ojcem i nieco mniej dramatyczną z matką. Spakowałam książki, które mogłyby mi się przydać, i kilka płyt ukochanego Cohena. Po kilku dniach wylądowałam w Sofii, złapałam pociąg do Płowdiwu i oto jestem. Gotowa pomagać w śledztwie dotyczącym Polaka zamordowanego w Bułgarii i przerażona bliskością miasta, które tak długo było moim domem, a potem wypluło mnie niczym wyżutą gumę.

Dimityr zawałał kelnerkę i zapłacił za nas oboje. Nie zaprotestowałam. Kawa jest tu dobra i tania. Zresztą to on mnie zaprosił.

– Witaj w Płowdiwie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że znów tu jesteś.

Nie mogłam odpowiedzieć, bo ścisnęło mnie w gardle. Wspinaliśmy się ulicą Saborną. Oglądałam kolejne budynki. Jedne

odrestaurowane i odmalowane wyglądały pięknie. Inne to ruiny, puste, z dziurami w ścianach, wybitymi szybami i bluszczem porastającym wnętrze. Pewnie starzy ludzie, którzy tu mieszkali, umarli, a spadkobiercy nie zrzekli się swoich praw, lecz nie stać ich na remont. Przy domu poety Lamartine'a skręciliśmy. Amfiteatr był blisko. Serce mi waliło. Przybiegałam tu, żeby spotkać się z Aną. Jego rodzice mieszkali niedaleko, na ulicy Pyldin. Oni na piętrze, babcia na parterze. Tyle razy mijałam dom Lamartine'a, zanim Anę wreszcie dostrzegłam, że istnieje.

– Chyba już o nim nie myślisz? – zdziwił się Dimityr. – Minęło tyle lat. Zresztą nie stało się nic naprawdę złego.

Zależy, jak się rozumie „coś naprawdę złego”. Faktycznie, nie powinnam myśleć o kimś, kto przed ośmioma laty zniknął z mojego życia. No i gościł w nim niezwykle krótko. Naprawdę nie ma powodu, żebym...

– Pomyślałam. Przecież on tu mieszkał... – wymamrotałam. – To chyba naturalne.

– Wiesz, dlaczego pytam – obruszył się Dimityr i potknął na bruku.

– Uważaj! – zareagowałam odruchowo. – Te kamienie mają tysiące lat, nie zniszcz ich. Też zdarza mi się czasem o nim myśleć w takim sensie, o jaki pytasz.

– Jakie tysiące? To poczciwe socjalistyczne kamyczki... – zamruczał pod nosem, ale przeszliśmy ze środka ulicy na chodnik. Tam było niewiele lepiej. Kamienne płyty leżały nierówno i należało patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. – Lepiej nie myśleć za dużo.

– I zobacz, jak skończyłeś – rzuciłam złośliwie. Minęliśmy sklep ze starymi blaszanymi tabliczkami: „Ostrożnie prąd”, „Woda niezdatna do picia”, „Uwaga, zły pies”. – Jestem kobietą, więc czasem więcej myślę na pewne tematy. Inaczej niż ty.

Wzruszył ramionami. On pewnych spraw nie zrozumie. Ja też nie. Może gdybym nie rzuciła wszystkiego i nie wróciła do Polski, sprawy potoczyłyby się inaczej. Poznałabym kogoś, założyła rodzinę, urodziła dzieci. Rozpamiętywanie przeszłości to cecha archeologa.

– Wejście za opłatą. – Ładna dziewczyna uśmiechnęła się do nas.

Dimityr pokazał legitymację policyjną. Dziewczyna spoważniała, jakby nie mogła się uśmiechać przy oficerze. Otworzyła barierkę i weszliśmy do amfiteatru.

*

Kazał go wznieść około roku siedemdziesiątego po Chrystusie rzymski cesarz Trajan, Marcus Ulpius Traianus, na południowym wzgórzu jednego z trzech wzniesień Płowdiwu. Samo miasto jest znacznie starsze, zostało założone przez Traków. Filip Macedoński, ojciec Aleksandra, zbudował jego potęgę trzy tysiące lat temu i nazwał je swoim imieniem – Filipopolis.

Wodziłam wzrokiem po trzech i pół tysiącu miejsc amfiteatru zwróconych na południe ku starożytnemu centrum miasta i górą Rodopom. To jeden z najlepiej zachowanych i – rzecz jasna – najstarszych amfiteatrów na świecie. Przychodziłam tu mnóstwo razy, zwykle z Dimityrem, babcią, z koleżankami, nigdy z Anżelem. Z Anżelem właściwie nigdzie tak naprawdę nie chodziłam. Był typowym bułgarskim chłopakiem, barmanem w Trimoncjum, tutejszej kultowej knajpie. Studentka archeologii mu nie imponowała. Ciekawe, czy teraz mu imponuje, że jego żona pracuje przy wykopaliskach. Może się roztyła po urodzeniu dziecka i on się jej wstydzi albo zdradza ją jak dawniej... Prze stań, Margarito. Ledwie przyjechałaś, a już wydziwisz.

– Gdzie go znaleziono? – spytałam, żeby odegnać niepotrzebne myśli.

Dimityr spojrział ironicznie.

– Wiem, że na proscenium, ale chcę, żebyś dokładnie mi pokazał. Po to tu przyszliśmy, nie? W przeciwnym razie mogłam poprzestać na oglądaniu zdjęć.

– Masz rację.

Zeszliśmy stromymi kamiennymi schodkami. Scenę zbito z desek, między kolumnami widniało miasto tonące w słońcu.

– Tu. – Dimityr wskazał miejsce. – Dokładnie tu stał krzyż. Obok taca. Jak widziałaś na zdjęciach, głowę miał zwróconą prosto na wejście.

– Przytargali go przytroczono do krzyża czy załatwili to na miejscu?

– I to jest najciekawsze. Ukrzyżowano go wcześniej. Dokładnie na podobieństwo ukrzyżowania Chrystusa. Żelazne gwoździe ważą po pół kilograma każdy. Wbito je między ścięgna, fachowo, a nie tak, jak się czasem przedstawia na ikonach, symbolicznie w środek dłoni. Stopy skrzyżowano tak jak u Chrystusa, prawą na lewej.

– Czyli najpierw gościa otruto, potem odcięto mu głowę, ukrzyżowano go, przywieziono i postawiono na wspornikach dokładnie na orchestrionie.

– Jeszcze namalowali mu te złote obrazki, z powodu których tu jesteś.

– Jeśli o nie chodzi...

Nie miałam pojęcia, co znaczą, stanowiły bowiem dziwną mieszankę głagolicy, cyrylicy oraz symboli egipskich, trackich i greckich. Jeśli ich nie odszyfruję, skompromituję się na całego.

– Masz jakąś koncepcję? Przynajmniej wstępną?

Miałam wiele koncepcji, niestety, nadawały się one raczej do scenariusza filmu amerykańskiego klasy C niż do ujawnienia podczas konsultacji z oficerami wydziału kryminalnego.

– Jakież tam mam – mruknęłam wymijająco.

– Świetnie. – W jego głosie aprobata łączyła się z ironią. Chyba starał się odgadnąć, czy „wiem, ale nie chcę powiedzieć”, czy „wiem, że nic nie wiem”.

– Dimityr, nie wiem, czy się wam przydam. Przecież nie mam pojęcia...

Cóż za idiotyczny pomysł z tym przyjazdem! Jeśli już chciałam wrócić, nie musiałam załatwiać sobie papierów z ministerstwa.

– Zapomniałem, jaka jesteś – zaśmiał się Dimityr. – Zlepek niepewności i wątpliwości. Moja Gitka... A ja, zamiast zaprosić cię tutaj na rakiję i fontanny, funduję ci trupa bez głowy przybiętego do krzyża.

Spojrzałam przez przypadek na dziewczynę, która wpuściła nas do amfiteatru. Stała sztywno ze wzrokiem zwróconym w naszą stronę. A niech to, ale z nas kretyni. Przecież jesteśmy w miejscu zaprojektowanym tak, aby szept ze sceny był słyszalny nawet w ostatnim rzędzie widowni. Dimityr również się zreflektował.

– Pogadamy w kawiarni.

Wróciliśmy tą samą drogą, pożegnaliśmy uprzejmie dziewczynę i usiedliśmy przy stoliku kawiarni sąsiadującej z amfiteatrem. Przez kraty zerkałam na miejsce, w którym przed chwilą staliśmy, a które stało się sceną zbrodni. Wyglądało zupełnie niewinnie. Z plakatu wynikało, że wieczorem wystawiają tu *Traviatę*.

– Grają przedstawienia? – zdziwiłam się. – W miejscu popełnienia przestępstwa?

Wzruszył ramionami.

– A co mają zrobić? Trupa zabraliśmy, życie toczy się dalej.

Show must go on.

– Nikt nie oczekuje od ciebie, że rozwiążesz zagadkę. To nasze zadanie – zaczął, kiedy kelnerka przyniosła dwie butelki schweppesa. – Ty masz nam pomóc. Powinniśmy skoordynować działania tutaj i w Polsce. Od tego głównie jesteś, bo znasz oba języki.

– Czyli jeśli nie zgadnę, co znaczą malunki na ciele tego biedaka i jak się wiążą ze sprawą, to nie będzie wstydu? – Trochę mi ulżyło.

– Naoglądałaś się filmów, Gitka. Nie będzie. Gdybyś jednak rozszyfrowała te znaki, wszyscy bylibyśmy szczęśliwi.

Tyle że czułam się tak, jakbym oglądała film sensacyjny. Może to było prostsze, niż wyglądało, a sposób uśmiercenia i znaki nie miały znaczenia? Ale komu by się chciało ukrzyżować człowieka, odcinać mu głowę i wypisywać coś na ciele, jeśli nie chciał grać w jakąś grę?

– Jak go zidentyfikowaliście?

– Hotel zgłosił zaginięcie gościa, my mieliśmy trupa bez dokumentów. Recepcjonistka go zidentyfikowała.

– Dobrze, że zdążył się zameldować. Zginął zaraz po przyjeździe?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Zrobił online rezerwację w Grand Hotelu. Trzy dni przed śmiercią przyleciał samolotem do Sofii, na lotnisku zamówił taksówkę i przyjechał do Płowdiwu. Zameldował się w hotelu i tyle.

Dimityr recytował. Widać, że powtarza te informacje po raz kolejny. Przesiadłam się, bo oślepiało mnie słońce. Było strasznie gorąco. Może z powodu upału ten człowiek przyjechał tu taksówką?

– Stać go było? – zdumiałam się.

– Kurs kosztował dwieście lewów. Facet raczej nie oszczędzał. Taksówkarz niczego specjalnego nie potrafił powiedzieć. Nie rozmawiali, bo po jakimu niby.

Dwieście lewów, ponad sto euro. No, ale skoro miał pieniądze na Grand Hotel, po co miałby się tłuc pociągiem w tym upale.

– Przyleciał klasą biznes? – spytałam, chociaż nie bardzo wiedziałam, co mogłabym zrobić z tą informacją.

– Tak. Pierwszy wieczór spędził w barze, gdzie popijał rakiję i uśmiechał się do barmanki. Mamy jej zeznania. Też nic specjalnego. Nie próbował jej podrywać, nie rozmawiał z nią z wiadomej przyczyny.

– Rozumiem, że pan eksposeł nie mówił w żadnym języku oprócz polskiego?

– Mówił ponoć po rosyjsku, ale niezbyt dobrze. – Dimityr wychylił ostatni łyk napoju.

Wiele lat temu sprzedawano jeszcze schweppesy pomarańczowe i grejpfrutowe. Babcia czasem dawała mi lewa, żebym sobie kupiła. Potem Bułgaria straciła licencję.

– Co robił drugiego dnia? – zainteresowałam się.

– Nie wiemy. Rano wyszedł z hotelu i taksówką pojechał na ulicę Główną od strony Trimoncjum. Wsiadł w pobliżu poczty. Taksówkarz nie wie, w którą stronę poszedł. Nie rozmawiali, chociaż kierowca próbował.

Trimoncjum, tam pracował Anżeł. Przestań, Margarito, kompromitujesz się.

– Tylko trafił na ścianę.

– Właśnie... Próbował poradzić sobie za pomocą decybeli, ale w końcu odpuścił.

Śmieszne. Niektórzy uważają, że wystarczy mówić głośniej, a obcokrajowiec zrozumie.

– Nasz eksposeł wrócił do hotelu około siedemnastej i nie wychodził aż do dziewiętnastej. Potem znów spędził wieczór w hotelowym barze. Obsługiwała go inna barmanka. Z nią też nie rozmawiał, chociaż nie uśmiechał się do niej tak uroczo jak do tej poprzedniej.

– Miał jakiś powód? Wydawał się smutny, zdenerwowany?

– Ona nie odniosła takiego wrażenia. Raczej skupiony albo zamyślony. Może po prostu nie była w jego typie. Wypił dwie rakije i poszedł do pokoju. Następnego dnia powinien zwolnić po-

kój. O dwunastej piętnaście zadzwoniła do niego recepcjonistka, bo skończyła się doba hotelowa. Nikt nie odebrał. Wtedy obsługa weszła do pokoju. Na środku stała prawie spakowana walizka, w pokoju panował porządek.

– Ktoś widział, jak wychodził?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Nikt. W walizce nie było piżamy, co może oznaczać, że albo porwano go z łóżka... – uśmiechnął się Dimityr.

– Albo że sypia nago.

– Właśnie.

Wstaliśmy i zaczęliśmy schodzić w stronę Hisar Kapija, bramy, którą można opuścić stare miasto od wschodu.

– Komórki nie znaleźliście?

– Nie. Mamy numer, niestety, nie udało się jej zlokalizować. Poza zasięgiem.

Tak, właściciel znalazł się poza zasięgiem wszystkich i wszystkiego. Aktualnie w chłodni.

– Żeby skończyć sprawę hotelu... Nikt go więcej nie widział. Przesłuchaliśmy wszystkich. W większości to pracownicy zatrudniani na czas określony. Nawet w takim dobrym hotelu rzadko można znaleźć kogoś z dłuższym stażem. Jeśli zatem pytasz, czy na tej zmianie pracował ktoś, kto zatrudnił się w hotelu po tym, jak ofiara dokonała rezerwacji, to odpowiem ci, że były to cztery osoby. Trzy sprzątaczkę i kucharkę. Sprzątaczkę są tureckimi Cygankami, kucharkę przyjechała z Sofii. Jest wysoko wykwalifikowana, specjalizuje się w daniach bułgarskich. Zamknęła restaurację, w której pracowała, i od razu znalazła pracę w Płowdiwie. Jest starszą osobą. Jej syn mieszka i pracuje w Grecji. Wydaje się poza podejrzeniem. Podobnie jak Turczynki.

Cyganki. Zasilają w Bułgarii najniższy personel. O ile w ogóle pracują.

– Kto go znalazł w amfiteatrze?

– Ktoś, kto wracał z imprezy o czwartej nad ranem. Zadzwo-
nił z komórki zszokowany i niepewny, czy nie jest to element
dekoracji do spektaklu.

– Co zaplanowano na wieczór tego dnia? Czy to ma jakieś
znaczenie?

– Wydaje mi się, że nie. *Traviatę*. To taka opera.

– Jezu, Dimityr, wiem, co to jest *Traviata*! Rozmawialiśmy,
że dziś też ją wystawiają.

Minęliśmy jakąś knajpkę.

– Tu zjemy czy idziemy na flaki przy meczecie? – rzucił Dimityr.

No tak, jest południe. Bułgarzy o tej porze zaczynają obiad.
Potem idą do domu na dwu-, trzygodzinną sjęstę. Następnie wra-
cają do pracy z nowymi siłami. Wieczorem powrót do domu,
żeby się przebrać, i wychodzą do miasta. A tak mu się spieszyło,
żeby zacząć pracę.

– Wolę tutaj.

Weszliśmy do przyjemnej restauracji. Na szczęście znaleź-
liśmy wolny stolik. Usiedliśmy w ogródku. W środku działała
klimatyzacja, ale jak zawsze wolałam jeść na powietrzu. Zamó-
wiliśmy to samo: tarator i wątróbkę po wiejsku.

– Ależ dobry – westchnęłam po spróbowaniu taratora.

– Zaledwie przyzwoity – potwierdził Dimityr. – Babcia robiła
lepsy. Twoja zresztą też.

No dobrze. Tajemnica tkwi w tym, że moja babcia Sofija
i jego babcia Stefka ucierały posiekane orzechy włoskie z czosn-
kiem, zanim dodały je do jogurtu. Wrzucały też mały pomidor
drobno posiekany albo starty na tarce. Ja też tak robię.

– Wątróbkę też skrytykujesz? – spytałam.

– Wątróbka akurat jest taka jak trzeba.

Ja także uznałam, że czepianie się wątróbki byłoby bezzasad-
ne. Uśmiechnęłam się do kelnerki. Nie pozwoliłam Dimityrowi
zapłacić za siebie.

– Jesteś gościem – zaprotestował. – A poza tym ta dama stra-
ci do mnie szacunek.

Miałam w nosie, co pomyśli o nim kelnerka. Nie będzie mnie
utrzymywał.

– No tak, teraz jesteś bardziej Polką. Niewiele w tobie zostało
z Bułgarki...

Może i niewiele. Tylko to, że latami cierpiałam i tęskniłam za
Angełem, z którym przecież nie łączył mnie długotrwały i głębo-
ki związek. To akurat głęboko bułgarska cecha.

Wychodzimy. Znów mijamy sklep z pamiątkami i śmiesz-
nymi napisami na blaszanych tabliczkach. Sprzedawca siedzi
na stołeczku na zewnątrz i uśmiecha się do nas. Myślałam, że
to jakiś znajomy Dimityra, ale nie. Mimo to odpowiadam mu
uśmiechem. Dimityr patrzy z dezaprobatą.

– Odprowadzę cię teraz do kwatery, odpocznij sobie. Koło
trzeciej przyjdź na komisariat. Poznam cię z całą ekipą, pogada-
my o śledztwie. Wieczorem zapraszam cię do nas.

Nagle zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco.

– Jak to „do nas”?

Pytałam go przecież, czy jest sam. Chciałam się przygotować
na widok ewentualnej żony. Odpowiedział ze śmiechem, że się
nie ożenił. Więc jakie „do nas”?

– No do nas, do domu. Mieszkam teraz z Silwiją, na
Radost.

Jak mogłam o niej zapomnieć? Imię młodszej siostry wy-
mawiał „Silwja”. Nie bawiliśmy się z nią, bo jak z maluchem
młodszym od nas o osiem lat biegać po starym mieście? Na uli-
cy Radost mieszkali ich rodzice, a babcia, obok mojej babci, na
Patriarchy Ewtemija. Rano rodzice przywozili go do babci auto-
busem i szli do pracy. Do Silwii przychodziła druga babcia i pil-
nowała jej na miejscu.

– Nie wyszła za męża?

– Daj spokój – zachnął się. – Ma dwadzieścia dwa lata. Studiuje. Jeszcze ma czas, żeby wychodzić za męża.

– Co studiuje?

– Ekonomię. Chce stąd wyjechać. Jak wszyscy młodzi ludzie. Witaj w Bułgarii.

*

Upał i kurz. Kurz i upał. I te powykrzywiane płyty chodnikowe. O mało nie wybiłam sobie zębów, kiedy się potknęłam.

– Uważaj dziewczyno, bo sobie piękną buźkę pokiereszujesz! – krzyknął za mną niemiłosiernie brudny dziadek, który przysiadł na drewnianym stołku przed domem i patrzył na przechodzących ludzi, dłubiąc pieczone pestki słonecznika.

Nie odpowiedziałam, ale i się nie rozżłościłam. Robisz postępy, Margarito.

W drzwiach mojej kwatery siedział na taborecie Bożydar, właściciel. Podobnie jak tamten brudny dziadek jadł słonecznik i wypluwał łupiny wprost na chodnik. Nic dziwnego, że Płowdiw jest tak strasznie brudny, wszędzie łupiny, liście, pety...

– Kwatera okej, dziewczyno?

– Jasne, wszystko w porządku.

– Chcesz czegoś? Kupić ci coś? Kobieta ma ci posprzątać?

Ta „kobieta” to jego żona.

– Przecież nie zabawię tu długo.

– Przez miesiąc nie będziesz sprzątała?

Faktycznie, kurzy się tu okropnie. Poddałam się.

– Niech przyjdzie i posprząta, ale wystarczy raz w tygodniu. Ręczniki chcę wymieniać co trzy dni. Gdzie tu macie pralnię?

– Kobieta ci upierze, zostaw, co chcesz. Jak powiesz, to ci i wyprasuje.

– Gdzie znalazłeś taką pracowitą kobietę? – Uśmiechnęłam się krzywo.

– Na wsi u babci. Ona też z Płowdiwu, ale poznaliśmy się w Parwomaju. Taki los.

Odpowiedział całkiem poważnie, nie dostrzegł ironii w moim głosie. Jeszcze nie widziałam jego „kobiety”.

– Daj jej mój numer telefonu. Idę odpocząć, przepraszam cię, nie pogadamy.

Bożydar przesunął się nieco, ale niewystarczająco i musiałabym się o niego otrzeć. Stałam więc, uparcie patrząc na zdrawec rosnący w donicach poustawianych po obu stronach drzwi. Uwielbiam jego zapach. Wreszcie Bożydar podniósł się i odsunął stołek.

– Możemy cię zabrać wieczorem na miasto, bo ty tu chyba nikogo nie znasz.

Jeszcze czego. Nie mam w planach wychodzenia „na miasto”, zanim sobie wszystkiego nie poukładam. Muszę zastanowić się nad tymi znakami. No i Dimityr mnie zaprosił.

– Dzięki, jestem już z kimś umówiona.

– Widzę, że nie jesteś z tych, co siedzą w domach wieczorami. – Zaśmiał się. – Prawidłowo. Młoda, piękna, musisz korzystać z życia.

Ruszyłam wąskimi schodkami na górę. Mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze. Miało własny balkon i coś naprawdę fajnego – taras na dachu budynku. Tylko do mojego użytku. Widać z niego całe miasto. Wolę spędzić wieczór tutaj niż z Bożydarem i jego „kobietą” na mieście. Nie lubię bułgarskich mężczyzn, nie tylko ze względu na Aniełę. Chodzi o to, jak traktują kobiety. Czy naprawdę nie przenosisz swojej niechęci na wszystkich mężczyzn z powodu tego, co ci zrobił ten jeden? To bez sensu, Margarito.

*

Dimityr był szefem. Imponujące. Jego zespół liczył wprawdzie kilka osób, ale przecież o sukcesie decyduje nie ilość, lecz jakość. Jego zastępcy byli jak ogień i woda. Pierwszy, łysy, z brzuszkiem Christo Wapcarow, starszy policjant pamiętający czasy Todora Żiwkowa. Drugi młody i przystojny, Nedko Kolew, widać, że spędzał długie godziny w siłowni. Na muskularnym ramieniu widniał tatuaż smoka. Miałam ochotę powiedzieć mu, że taki smok to dziewczynska dziara, ale się powstrzymałam. W przeciwieństwie do Christa nie obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem, tylko powitał miło. Piękna dziewczyna, Wirginija Popowa, była młodszym detektywem i psychologiem z zawodu, podobnie jak ja. Zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, na mężczyznach zapewne również tak działała. W stu procentach wpisywała się w definicję atrakcyjnej Bułgarki. Bardzo zgrabna, włosy czarne, wielkie oczy podkreślone kreską, rzęsy oczywiście przyklejone, usta zrobione, ale dyskretnie. Ubrana niczym piosenkarka na chwilę przed udzieleniem wywiadu w telewizji – w ciasne dzinisy, półprzezroczystą białą koszulę do pępka i sandały na niebotycznych obcasach. Długie paznokcie, a w uszach krzykliwe czerwone kolczyki. Moim zdaniem psycholog, który tak wyglądał, nie wzbudzał zaufania. No i w tym stroju nie pobiegłaby za przestępcą, ale pewnie nie musiała. W grupie byli również Koljo Dżubrow, patolog, to cichy facecik średniego wzrostu, średniej urody i w ogóle dość średni, a także Milena Krumowa, krępa, śniada dziewczyna, która „dopiero zaczyna”.

– Margarita Nowak – przedstawiłam się, wymawiając imię z naciskiem. Miałam nadzieję, że Dimityrowi nie przyjdzie do głowy nazywać mnie publicznie Gitką.

– Czekaliśmy na ciebie – odezwała się Wirginija. – Cieszymy się, że jesteś.

Reszta potwierdziła energicznie. To miłe. Sądziłam, że nie będą szczególnie rozentuzjasmowani moim widokiem. W końcu

poza znajomością polskiego niczego specjalnego nie wniosę do sprawy. Zresztą raport z Komendy Głównej mają przetłumaczony na bułgarski, a moja wiedza archeologiczna nie czyni ze mnie ekspertki. Dwa lata studiów osiem lat temu...

– Czy wiesz o nieboszczyku coś ponad to, co nam tu przysłali? – Pytanie padło z ust Christa Wapcarowa.

Twarcz oblał mi rumieniec. Przed wyjazdem wezwano mnie do komendy. Podpisałam tonę papierów, między innymi klauzulę poufności. Dostałam wszelkie raporty w formie elektronicznej i na papierze. Przystudiowałam je dokładnie, ale nie przyszło mi do głowy, żeby spytać o cokolwiek.

– Nie.

– Jutro o dziesiątej naszego czasu mamy zadzwonić do Polski. Jestem umówiony na telefon z... – Spojrzał na kartkę – Tomaszem Małęczyńskim. Mogę z nim gadać po angielsku, ale skoro mamy ciebie, to będziesz tłumaczyła.

Wymówił „Maleczyński”, a Wirginija parsknęła śmiechem. Dimityr zgromił ją wzrokiem. Ona nie będzie mnie lubiła. Ciekawe, dlaczego, przecież jest ode mnie bardziej atrakcyjniejsza.

– Podsumujmy, co wiemy o tym panu – zdecydował Dimityr. Powtórzył wszystko, co przekazał mi rano, o przyjeździe, hotelu i drink barze. O przedstawienie reszty informacji poprosił Milenę. Wyraźnie zadowolona wyprostowała się na krześle i zaczęła recytować jak dobrze przygotowana uczennica.

– Przemysław Tarkowski, lat pięćdziesiąt dziewięć, zamieszkały w mieście Warszawa, Aleje Jerozolimskie czterdzieści dwa mieszkania piętnaście...

Wymawiała nazwę ulicy „aleje jerozolimskie”. Bułgarzy mają wielki kłopot z polską wymową.

– Czy ten adres coś ci mówi? – Przystojniak przerwał koleżance, zwracając się do mnie.

– Tak. To jedna z głównych ulic w Warszawie, w samym centrum. Bardzo dobra lokalizacja. Tarkowski musiał odziedziczyć mieszkanie po krewnych, bo raczej nie byłoby go na nie stać. No i kupowanie drogiego lokum w kamienicach, które są wiekowe i często nie wyglądają najlepiej, bywa dość ryzykowne...

– Czyli nic nam to nie daje, tak? – upewnił się Dimityr.

– Można spytać tego Małczyńskiego, skąd Tarkowski miał to mieszkanie i jak ono wyglądało. Meble i te rzeczy...

– Rozumiemy – przerwała mi Wirginija.

– Był posłem na sejm kadencji 2007–2011. Wcześniej radny z partii – Milena spojrzała w stronę notatek – Polskie Stronnictwo Ludowe. Do sejmu wszedł jako kandydat bezpartyjny. Co o tym powiesz?

– PSL to partia wiejska, w domyśle ludowa. Ich elektorat wywodzi się ze wsi – zaczęłam się plątać. – Trzeba poprosić jutro o ulotki reklamowe, namiary do dawnego biura poselskiego. Może uda się odnaleźć ludzi, którzy z nim współpracowali, sprawdzić, czym się interesował, w jakich zasiadał komisjach... I dlaczego nie kandydował jako członek tej partii.

– Świetnie, tak zrobimy – zdecydował Dimityr.

– Otoczenie... – kontynuowała Milena. – Nie miał żony, dzieci ani rodzeństwa. Nawet kuzynów. Rodzice, oboje jedynacy, zmarli dziesięć lat temu w odstępie roku. Jedno i drugie na raka. Tarkowski był samotny. Nikt z Polski nie zgłosił się po ciało. Nikt go nie szukał.

– A sąsiedzi? – spytałam.

– Gorączkowo próbowałam sobie przypomnieć, co się w takich sytuacjach robi, czego szuka. Moja wiedza ograniczała się jedynie do telewizji i skandynawskich kryminałów.

– Zapisujemy ten punkt. Spytamy.

– Czytałam w raporcie, że był bardzo religijny. Skąd to wiadomo? – rzuciłam.

– Napisali, że chodził do kościoła i tam ciągle coś organizował, zbierał pieniądze na dzieci, działał w jakiejś organizacji kościelnej... – Dimityr grzebał w notatkach – ...Caritas.

– Wzruszyłam ramionami. Chyba nikt nikogo by nie ukrzyżował za działalność w Caritasie.

– Rodzaj śmierci nie pasuje do jego religijności – zauważyłam.

– Albo wręcz przeciwnie – sprzeciwiła się Wirginija. – Jezusa ukrzyżowano za jego religijność.

– I wtedy też w grę wchodziła polityka – dodała Milena.

Te dwie kobiety znacznie się od siebie różnią, a jednocześnie w jakiś sposób są do siebie podobne. Trudno stwierdzić, na czym to polega.

– Tyle że Jezus nie chciał mieszać się do polityki, to jego wmieszano – powiedziałam. – A pan poseł kandydował do sejmu dobrowolnie...

– Wy w Polsce jesteście bliżej Kościoła niż my tutaj. Pewnie wiesz lepiej.

Milena stwierdziła to życzliwym tonem, poczułam się jednak w obowiązku wyjaśnić.

– Chodziło mi o fakt, że Jezusa ukrzyżowali jego pobratymcy. Czekali na Mesjasza, by ich uwolnił z rzymskiej niewoli. Jezusowi zaś chodziło przede wszystkim o wolność duchową.

– Moje królestwo nie jest z tego świata – wyrecytował Christo i wzruszył ramionami, bo wszyscy obecni popatrzyli na niego ze zdumieniem. – Mój dziadek był popem – wyjaśnił.

Zapadła cisza. Dimityr spojrział na Christa, Wirginiję, Milenę, wreszcie przeniósł wzrok na patologa.

– Koljo, może teraz ty nam coś powiesz.

Koljo poprawił się na krześle i przesunął teczkę leżącą na biurku, choć jej nie otworzył.

– Denat został otruty cyjankiem – zaczął. – Jakąs godzinę po śmierci, góra dwie, ucięto mu głowę, następnie spuszczone

z ciała krew i przybito je do krzyża. W takiej właśnie kolejności. Głowę odrąbano bardzo ostrym narzędziem, maczetą, mieczem, raczej nie toporem. Narzędzie zbrodni było nowe albo wyczyszczone chemicznie, bo nie znalazłem śladów drewna ani innego materiału.

– Ucięto ją starannie, równiutko. – Wzdrygnęła się Milena.
– Zrobił to fachowiec.

Trudno się nie zgodzić, tyle że nic z tego nie wynika. W pokoju nie było klimatyzacji, kręcił się wentylator. Poczułam zmęczenie. Staralam się jednak skupić, żeby zapamiętać jak najwięcej.

– Gwoździe zrobił kowal rzemieślnik, bo są autentycznie piękne. Starannie, wręcz perfekcyjnie wykonane i...

Dimityr przejechał dłonią po włosach.

– Daj spokój, Koljo, nie napalaj się tak.

– Ja tylko wprowadzam koleżankę w szczegóły sprawy. Poza tym – nachylił się w moją stronę – chcemy znaleźć tego kowala. Na razie się nie udało, ale próbujemy.

– Dziękuję – mruknęłam. – Jak przechowywano głowę, zanim trafiła na tacę?

Wydawało mi się, że Wirginija się skrzywiła.

– Nie w lodówce, jeśli o to pytasz. Nad ranem, kiedy ten młodzieniec zadzwonił i wyciągnął nas z łóżek, szczelnie oblepiały ją muchy. Paskudztwo.

Koljo także się skrzywił.

– Wydawało mi się, że patologa nic nie brzydzi. – Wirginija wyszczerzyła w uśmiechu idealnie białe, równe zęby. Jakaż ona piękna!

– Mylisz się, moja droga. Brzydzę się trupami. Nie cierpię oglądać zwłok rozdętych, jedzonych przez robaki ani innych, podobnych. A już topielcy wywołują we mnie autentyczną odrazę – opisał to w taki sposób, jakby żartował.

– To czemu zostałeś patologiem? – zainteresowałam się, postarawszy się przybrać równie lekki ton. Wiatrak zwalniał obroty. Jeśli się zatrzyma, zemdleję.

– Żywi pacjenci brzydzą mnie jeszcze bardziej. Podobnie śmierdzą, na dodatek się ruszają... To gorsze niż larwy.

Nie wiedziałam, czy znów żartuje, czy mówi poważnie.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Wirginija machnęła ręką. – Dziś powie ci jedno, jutro coś zupełnie innego. Przynajmniej jeśli chodzi o sekcję, trzyma się faktów. Powiedz jej, Koljo, o żołądku.

– Zostawiłem to na koniec, bo tu przynajmniej coś osiągnęliśmy. Otóż na ostatni posiłek denat zjadł rybę i chleb. Poza tym pił wino.

Zastygł z wyrazem triumfu na twarzy. Szczerze mówiąc, nie widziałam w tym niczego specjalnego.

– Wydaje się nam, że to ma znaczenie... – westchnęła Milena. – Specjalistka jakoś nie podziela naszego entuzjazmu.

– Nie – zaprzeczyłam, wodząc wzrokiem po ścianach pokoju. Do tablicy na ścianie przyczepiono zdjęcia oraz informacje dotyczące śledztwa. Na przeciwległej ścianie wisiał wielki plakat z instrukcją udzielania pierwszej pomocy. Obok niego plakat przedstawiający przystojnego motocyklistę z gołym torssem pod rozpiętą kurtką. Zgadłam, że ozdabia ścianę nad biurkiem Wirginii.

– Szkoda... – mruknął Koljo. – A gdybym ci powiedział, że rybę upieczono bez przypraw, chleb z mąki pełnoziarnistej na zakwasie, a wino było niesiarczanowane i niedosłodzane, rozcieńczone z wodą, czyli... mszalne? Może wtedy zmieniłabyś zdanie?

Coś zaczynało mi świtać.

– Biblijne jedzenie... – zaczął Nedko. Odezwał się po raz pierwszy. Miał miły, niski głos.

– Raczej stylizowane na biblijne... – uściśliłam. – Jaka rybę zjadł?

– Makrełę.

Ryba, chleb i wino mszalne. Ukrzyżowanie i ucięta głowa. Można to połączyć z religijnością ofiary, tylko w jaki sposób i co z tego mogłoby wynikać? Pocieszał mnie fakt, że oni też nie wiedzieli.

– Czy twoim zdaniem uciętą głowę należy łączyć ze Świętym Pawłem czy raczej z Janem Chrzcicielem?

Żeby to ja wiedziała. Wzruszyłam ramionami.

– Jan Chrzciciel bardziej pasuje. W końcu Salome kazała Herodowi podać sobie głowę Świętego Jana na srebrnej tacy...

– Słuchajcie. Chyba musi chodzić o Jana Chrzciciela. Przecież ten człowiek zginął dwudziestego czwartego czerwca. – Wpadłam na pewien pomysł.

– A to jakiś szczególny dzień? – spytała Milena i wstukała coś w komputerze. Pewnie zaczęła szukać w internecie.

– Tak – ożywiłam się. – To dzień narodzin Jana Chrzciciela. Zgodne są co do tego Kościoły katolicki oraz Cerkiew prawosławna. Nie jest to popularne święto, dlatego nam umknęło.

Szczęście, że pamiętałam to ze studiów. Towarzystwo wyraźnie się ożywiło. Dimityr wodził po wszystkich dumnym wzrokiem, jakby chciał pokazać, że miał rację, zapraszając mnie tutaj.

– No to mamy jakiś trop, tylko nie wiemy, co z nim zrobić...

Christo nie krył sceptycyzmu. Milena patrzyła z zainteresowaniem. Wirginija żuła gumę. Wiatrak ledwo zipał.

– Musimy znaleźć powiązanie między tym, co znaleźliśmy w jego żołądku, ukrzyżowaniem a napisami na ciele. Nie są to napisy hebrajskie – dodałam.

– Nie są – zgodził się Nedko. – Nie wiemy, czy to litery, znaki czy symbole. Stawiamy na litery, bo wydaje się to bardziej logiczne. Liczyliśmy na ciebie...

Coś mnie tknęło.

– Czemu liczyliście na mnie? – Popatrzyłam na Dimityra. – Czemu nie zwróciliście się do któregoś z tutejszych profesorów? Choćby mojej matki...

Zapadła cisza. Wreszcie przemówił Christo.

– Pytaliśmy... Ją pierwszą.

Czarna dziura. Głupia jesteś, Margarito.

– Odesłała nas do ciebie. – Dimityr kilka razy przecesał włosy. Wolałby pewnie, żebyśmy podobną rozmowę przeprowadzili na osobności. – Poradziła, żeby sprowadzić ciebie jako konsultantkę. Ona sama jest chwilowo w Egipcie, gdzie...

– Wiem, gdzie jest – przerwałam mu lodowatym tonem. Oczywiście, jak mogłam pomyśleć, że to Dimityr chciał, żebym tu przyjechała.

Muszę się opanować. Nie ich wina, że mam odwieczny problem z własną matką. Chciałabym wstać, wyjść, zadzwonić do niej i wykrzyknąć, że tak się nie robi. Nie sprowadza się podstępem do Bułgarii własnej córki, jakby była przedmiotem. Przez chwilę przysłała mi do głowy absurdalna myśl, że to moja matka nafaszerowała tego biedaka chrześcijańskim jedzeniem, otruła go, ucięła mu głowę i wymalowała na jego ciele znaki. Wszystko po to, by ściągnąć mnie tutaj. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że Dimityr najpierw zadzwonił do niej? Co mu powiedziała, że zdecydował się wciągnąć w śledztwo dwa kraje i – co ważniejsze – przekonać polską policję oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że właśnie ja mogę pomóc w śledztwie? I co ja o sobie myślałam, kiedy wierzyłam, że chcę właśnie mnie?

– No dobra dzieciaki, fajrant – oznajmił Dimityr. – Każdy idzie do domu i myśli. Jutro wykombinujemy, co dalej, po rozmowie z tym gościem z Polski.

– Nie mam zamiaru kombinować w domu – zachnęła się Wirginija. – Położę dzieci spać i wychodzę z Wasylem do miasta.

Taka lasencja ma dzieci? Trudno uwierzyć. Może adoptowane.
– Na mnie też nie liczcie. – Koljo wstał z krzesła i uniósł ręce.
Kości aż zatrzeszczały. – Konsultantka niech myśli.

Nie spjrzałam na Dimityra. Wyszłam. Słyszałam, że idzie za mną.

– Gitka...

W Polsce, chyba w drugiej klasie podstawówki, powiedziałam, że taki jest skrót od mojego imienia. Któryś chłopak spytał, czy to od „gites-majonez”. Potem tak na mnie mówili: „majonezowa”.

– Gitka! – Dimityr złapał mnie za ramię.

Chciałam zasypać go pretensjami, ale się powstrzymałam. Skończyłam dwadzieścia siedem lat, a reagowałam jak dzieciak. Nic mi się w życiu nie udało, nic specjalnego nie zrobiłam. To nie wina Dimityra, że czuję się bezwartościowa. To nie jest nawet wina Angela. To tylko moja cholerna wina, że nie umiem sobie ułożyć życia, że w każdym miejscu czuję się źle, nie u siebie i tak dalej. Odwróciłam się i spokojnie na niego popatrzyłam. Nie dam mu satysfakcji, by usłyszał pretensje czy zobaczył fochy.

– Pamiętasz, że zabieram cię na kolację do nas? Silwija kazała cię przyprowadzić. Będziemy mogli porozmawiać? Nie chciałem...

– Dimityr, wszystko w porządku. Chcę wam pomóc. Zespół jest... fajny. Dogadamy się. – Położyłam mu rękę na ramieniu.

Odetchnął z ulgą.

*

Czego właściwie chcesz od swojej matki, Margarito? Od kąd pamiętasz, czepiasz się jej i czepiasz. Co ci takiego zrobiła? Hmm, zastanówmy się. Może to, że przerzucała mnie jak przedmiot z Bułgarii do Polski i z powrotem, bo tak jej akurat pasowało? Do trzeciego roku życia mieszkałam w Polsce, bo matka

zakończyła pracę w Egipcie. Zresztą zakończyła ją w samą porę – urodziłam się dwa dni po jej przylocie do Polski. Dobrze, że nie na pustyni albo na pokładzie samolotu. To by dopiero było coś. W domu siedziała ze mną niania, bo mama wróciła na uczelnię. Potem znów pojechała na wykopaliska za granicę, a ja wylądowałam u babci w Płowdiwie. Chodziłam tu do przedszkola i do pierwszej klasy. Nie narzekałam. Ubierali nas w niebieskie kaftanki i śmieszne majty wydymające się na pupie. Na spacerze szliśmy gęsiego i trzymaliśmy się za te majty. Pamiętam, że szłam za Dimityrem, a on narzekał, że za bardzo go ciągnę. Miłe wspomnienia. Nawet leżakowania nie wspominam źle. I jego, i moja babcia pracowały w fabryce odzieży, szyły sukienki. Raz jedna babcia, raz druga odbierała nas oboje i prowadziła do domu. Tam bawiliśmy się przy akompaniamencie stukotu maszyny do szycia – każda babcia po pracy obszywała prywatne klientki. Gotowych ubrań w sklepie właściwie nie udawało się znaleźć, za to bez problemu kupowało się materiał każdego rodzaju, w dowolnym kolorze i wymarzonej fakturze: od najcieńszych jedwabi, przez gabardyny i rypsy, aż po wełnę na płaszcz. Nie kłam, Margarito – przecież uwielbiałaś patrzeć na szyjącą babcię. W Polsce siedziałabyś w małym mieszkaniu na Ochocie i czekała, aż matka i ojciec wrócą z pracy i chwilę z tobą porozmawiają, zanim pójdziesz spać. Czemu nie masz pretensji do ojca za to, że zniknął z twojego życia?

Druga i trzecia klasa w Polsce, potem znów na dwa lata do Bułgarii, szósta – Polska, siódma i ósma – Bułgaria, liceum w Polsce. Bóg jeden wie, jak trudno zdać egzaminy, kiedy przez ostatnie dwa lata pisało się głównie cyrylicą, a rodzice przysyłali pocztą tylko co drugi wymagany polski podręcznik. A w liceum? Uczylam się nocami, mimo to zbierałam prawie same dwójki. Przez braki z historii i języka polskiego ledwie zdałam do następnej klasy. Jedna wielka męka i pełne pogardy spojrzenia

nauczycieli. Poza tym brak koleżanek i kolegów, ciągła samotność. Znajomi zazdrościli mi, że mieszkam sama. Nie lubili mnie jednak, bo nie robiłam imprez ani nikogo nie zapraszałam.

O Dimityra rodzice też dbali tyle co nic. Pracowali i odbierali go od babci albo późnym wieczorem, albo dla wygody w soboty. Tęskniłam za nim w niedziele i nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Babcia ubierała mnie z rana w elegancką sukienkę z falbanką i szłyśmy do cerkwi na mszę, najczęściej na stare miasto, do Świętej Niedzieli albo Świętych Konstantyna i Heleny.

Cerkwie są takie klimatyczne. Znikanie popa za carskimi wrotami, mamrotanie po staro-cerkiewno-słowiańsku, zawodzenie starych kobiet na chórze i gryzący w oczy dym z kadzidła... Szczególnie pop Wasyl w Świętej Niedzieli napychał kadzielnicę taką ilością żywicy, że powietrze stawało się siwe, a pod koniec nabożeństwa ludzie niemal się dusili. Paliłam świece i modliłam się o powrót do domu. „Niech mama po mnie przyjedzie”, szepotałam. „Niech mnie zabierze do Polski”, powtarzałam trochę bez sensu, bo w Polsce tęskniłam i za domem babci przy bazarze Poniedziałek, i za Dimityrem i jego nieokiełznaną fantazją. Za matką wcale.

Drzwi otworzyła Silwija. Nie poznałabym jej na ulicy. Zupełnie nie przypominała Dimityra. On wysoki, umięśniony, bardzo śniady, grube brwi, z owłosionymi rękami i klatką piersiową. Ona drobna, jasna, delikatna.

– Gitka! – Pocałowała mnie w policzek. – Cieszę się, że cię widzę!

Dom na Radost. Tylko w Bułgarii mogą tak nazwać ulicę. Radość. Rzadko mnie tam zapraszano. Podczas tych nielicznych wizyt biegaliśmy z Dimityrem na dach. Tam lelja Rajna, siostra jego babci mieszkająca w domu przylepionym do Dimityrowego, trzymała króliki. Godzinami mogłam patrzeć, jak z zapałem chrupały podsuwane im liście winorośli albo trawę. Braliśmy je

na ręce, a one tuliły się do nas, choć nie przestawały jeść. Płakałam za każdym razem, kiedy Dimityr z dziecięcym okrucieństwem mówił, że jego mama piecze z nich pasztesy.

– Po polsku punktualna. – Dimityr pojawił się w korytarzu, naciągając pospiesznie tiszert.

Silwija zwróciła mu uwagę, że powinien ubrać się w pokój.

– Przecież jesteśmy jak rodzeństwo – obruszył się, choć twarz mu ściemniała pod zarostem.

Silwija miała rację. Nie powinien biegać przy mnie rozebrany, nawet do połowy. Zawsze byliśmy blisko, ale bez przesady. Dopiero odświeżaliśmy naszą przyjaźń.

– Siadaj i opowiadaj, co u ciebie. – Silwija nie przypominała małej dziewczynki, wiecznie marudzącej, że nie chcemy się z nią bawić. Była pewna siebie, nawet nieco władcza. Pociągnęła mnie za sobą do pokoju.

– Pewnie większość oficjalnych wiadomości przekazał ci Dimityr – zaczęłam. – Niewiele mam do dodania...

– Nie mówił, co u ciebie słychać. Wyszłaś za męża? Masz dzieci?

Nagle skurczył mi się żołądek. To pewnie boza kupiona w sklepie koło kwatery. Chyba się skrzywiłam, bo Silwija spytała:

– Co jest?

– Brzuch mnie rozbolał. To pewnie boza...

– Ooo... – W jej głosie zabrzmiała troska. – Ja kupiłam dla ciebie bozyczkę...

Dimityr musiał jej powiedzieć, że lubię ten jęczmienny napój, bo ona nie mogła tego zapamiętać.

– Nie, nie wyszłam za męża ani nie mam dzieci. – Nie powinna pomyśleć, że to dla mnie jakiś problem.

I najwyraźniej tak nie pomyślała, bo zaczęła wypytywać:

– Taka piękność? Łopatą mogłaś zbierać chłopaków... Doskonale pamiętam, ilu za tobą latało.

– To prawda. – Dimityr skinął głową, patrząc na mnie ciepło.

Usiedliśmy do stołu. Za czasów ich rodziców w tym pokoju stały ogromna drewniana szafa i łóżko z materacem sprężynowym, który rzeźił przeraźliwie, kiedy się na nim siadało. Uwielbialiśmy na nim skakać, ale po kilku sekundach zjawiała się jego babcia albo lelja Rajna i wrzeszczała na nas okropnie. Wspomnienia. Stół też był wielki, okrągły, pokryty ręcznie haftowanym obrusem i przezroczystą folią – chroniła obrus przed zabrudzeniem i nie zakrywała pięknego wzoru. Ściany pokrywały tapety w krzykliwe róże. Jako dziecko zachwycałam się tym wszystkim. Teraz pokój wyglądał zupełnie inaczej. Na kremowobiałych ścianach wisiały ładne obrazy, między innymi widoki starego miasta. Szafę zastąpiła nowoczesna witryna z kieliszkami i szklankami. Na środku stał stół i cztery krzesła osłonięte fantazyjnymi pokrowcami, każdy z kokardą z tyłu. Do tego – na wprost telewizora – kanapa i stolik.

– Bardzo tu ładnie – pochwaliłam szczerze.

– Zaszuga Silwii – odezwał się Dimityr. – Ona urządziła mieszkanie po śmierci rodziców. Zrobiliśmy generalny remont.

– Wiem, jak to jest – przyznałam. – Po powrocie do Polski wprowadziłam się do mieszkania, w którym przed laty mieszkałam z rodzicami. Po ich rozwodzie stało puste, bo ojciec wyprosił się do babci i został tam po jej śmierci. Wyrzuciłam wszystkie meble, przebudowałam kuchnię, łazienkę. Zmieniłam wszystko, bo... musiałam zacząć od nowa.

Tym razem opowiedziałam niepytana, w końcu to nie tajemnica. Miałam piętnaście lat, zaczynałam właśnie naukę w liceum, kiedy moja matka pojechała na miesięczną ekspedycję do Bułgarii. Śmiesznie: ona tam, a ja wyjątkowo w Polsce. I spotkała miłość swojego życia, archeologa Cwetana Mitkowa. Rzuciła ojca w pięć minut. Wróciła na moment, spakowała rzeczy i pojechała do tego gościa. On nie miał żony ani dzieci. Za to matka, cho-

ciaż dobiegała czterdziestki, machnęła sobie z nim dwóch synów. Otoczyła ich i nadal otacza taką opieką, o jakiej ja mogłabym tylko marzyć. Nie mam z nimi kontaktu, chociaż przyrodni bracia nie przestają o to zabiegać. Matka z rodziną mieszka teraz w Sozopolu. Kilka lat temu oznajmiono tam, że na Wyspie Świętego Jana zostały znalezione szczątki Jana Chrzciciela. Głównie Cwetan rozgłaszał te rewelacje: „Prawdopodobnie znaleźliśmy szczątki Jana Chrzciciela. Badania to potwierdziły. To szczątki człowieka, który żył na przełomie starej i nowej ery... Ach i och!”.

Wierutne bzdury. „Nawet jeśli szczątki pochodziły z pierwszych lat po Chrystusie, to jaka jest gwarancja, że należały akurat do Jana Chrzciciela? A tak, przecież wtedy na ziemi mieszkali tylko Chrystus, wspomniany Jan oraz dwunastu apostołów”, powiedziała matce. Spytałam ją, czy pobrali do porównania DNA od rodziny Świętego Jana. Nawet się nie obruszyła. Stwierdziła, że szczątki są pozbawione głowy i prawicy, więc możliwe, że należą do Świętego Jana. Poza tym wyspy koło Sozopola były miejscem kultu...

Zaraz, zaraz... Jan Chrzciciel...

– Sądziś, że to ma znaczenie? – ożywił się Dimityr.

Silwija wniosła tacę pełną gołąbków w liściach winorośli. Przełknęłam ślinę. Uwielbiam je.

– Zrobiłaś sarmi? – Patrzyłam z podziwem. Malutkie gołąbki pachniały czubrycą.

– Lelja Rajna! – Zaśmiała się. – Ja gotuję proste rzeczy.

– To ona żyje? – zdziwiłam się niezbyt taktownie.

– Tak, żyje. – Silwija uśmiechnęła się z zadumą. – Mieszka obok, wciąż w tym samym miejscu. Potem ją odwiedzimy, bo chciała cię zobaczyć. Czas się tam zatrzymał. Gotuje nam i przepisała mieszkanie w zamian za opiekę.

To się tutaj często zdarza. Mieszkanie w zamian za opiekę na starość.

– Na razie raczej ona opiekuje się nami – wtrącił się Dimityr. – Uprawia ogród, gotuje. Zobaczysz, ma pomidory, paprykę, fasolę, oczywiście winorośl...

– Dimityr o nią dba – dodała Silwija. – W zeszłym roku zrobił nowe podpórki, bo tamte pamiętały czasy naszych dziadków. Robi opryski, przycina. Jesienią zbiera owoce. Robimy rakiję.

– Znakomite – powiedziałam z uznaniem, przełykając kolejny gołąbek.

– Napijesz się rakii? Dimityr kupił dla ciebie wino, bo mówi, że nie lubisz grozdówki. Czy to się nie zmieniło? – spytała Silwija.

Nie zmieniło się. Nie lubię rakii od czasu, kiedy zamroczona nią, zapłakana i bosa wyszłam od Anieli. Rozhisteryzowana zadzwoniłam z budki do Dimityra. Przyjechał i zawiózł mnie na Radost. Najpierw zarzygałam mu pół łazienki, a później zasnęłam w jego łóżku. On posłał sobie na materacu leżącym na podłodze. Silwija to zapamiętała? Na pewno. Zbudziłam wtedy pół ulicy, przede wszystkim jego rodziców oraz lelję Rajnę.

– Mocny alkohol mi nie służy. W Polsce też nie piję wódki.

– Wracając do Jana Chrzciciela... – Dimityr pogładził się po starannie ogolonej brodzie. Przypomniałam sobie, że goli się dwa razy dziennie, tak silny ma zarost. – Co nam może dać taka informacja? Dlaczego zabijać kogoś w dzień urodzin Świętego Jana i odcinać mu głowę?

Wzruszyłam ramionami.

– Ty jesteś w kryminalnym, nie ja...

– Nigdy nic podobnego tu się nie zdarzyło. Przecież to przypomina scenariusz filmu. Zrozum, w realu nie ma takich morderstw. Pijany mąż wali na oślep żonę: wieśniak siekierą, inteligent pałką. Ktoś truje starą ciotkę albo babkę, bo nie może się doczekać spadku... – Odchrząknął, bo zaniósł się śmiechem.

– Ja nie o tym, dajcie spokój. – Dimityr po chwili też się roześmiał. – Leliczka jest naprawdę kochana. Poza tym my mamy gdzie mieszkać.

Lelja Rajna to starsza siostra babki Dimityra i Silwii. Kiedyś mi opowiedziała, że rodzice nie chcieli zgodzić się na ślub młodszej córki, zanim starsza nie wyjdzie za mąż. Młodsza i jej ukochany czekali trzy lata, wreszcie pobrali się potajemnie. Rajna nikogo nie znalazła, została sama. Była jak cień, zawsze w pobliżu, pomocna. Wychowywała Silwję jak własną córkę

– Jedyny punkt zaczepienia to znaki na ciele ofiary – zauważyłam. – Naprawdę nikt nie umie ich odczytać?

– Nie pytaliśmy aż tak wielu osób – wyjaśnił Dimityr. – Do twojej matki zadzwoniłem zaraz następnego dnia. Po prostu mnie zbyła. Trochę mnie to zdziwiło. Bo w końcu czemu...

Najwyraźniej czuł się głupio, że nie powiedział mi o tamtej rozmowie. Matka też nie wspomniała mi, że Dimityr zwrócił się najpierw do niej. Kochana, prawda? Po co uknuła intrygę, by wysłać mnie do Bułgarii? Czy sądzi, że uda się jej ściągnąć mnie do Sozopola? Chce, żebym z nimi zamieszkała, poznała braci przyrodnych? Tyle razy zachwycała się, jacy są zdolni i mili. Pewnie, będziemy jeszcze wielką, szczęśliwą rodziną.

– Mówiła, że znaki nie są trackie, na pewno też nie hebrajskie ani egipskie. – Dimityr uparcie wracał do tematu. Pozwoliłby nam spokojnie zjeść.

– Niby czemu nie trackie? – Skrzywiłam się.

Trakowie właściwie nie używali pisma. Polegali na ustnych przekazach, dlatego prawie nic o nich nie wiadomo. Oczywiście, starożytni Trakowie, nie ci z pierwszych wieków po Chrystusie. Matka z pewnością była tego świadoma.

– Nie mam pojęcia czemu...

Zdawała sobie z tego sprawę, mimo to o niczym nie powiedziała Dimityrowi, tylko kazała mnie sprowadzić. Ona lepiej

sprawdziłaby się jako konsultantka. Jest wybitną archeolożką, znawczynią kultury trackiej, rzymskiej i hebrajskiej. Dlaczego nie chciała pomóc?

– Lepiej nie mów przy swoich ludziach, że nie wiesz, co z tym zrobić – zauważyłam.

– Znamy się jak łyse konie. Nie zamierzam udawać mądrego. Cóż, wiele nie szukaliśmy i nie pytaliśmy. Baliśmy się pretensji Polaków. W końcu to deputowany... Muszę przyznać, że pozwalają nam spokojnie prowadzić śledztwo, nie wtrącają się, nawet nie naciskają, żebyśmy jak najszybciej znaleźli winnego. Jestem nawet zaskoczony.

– Zaskakujące, fakt. Ktoś tuszuje sprawę?

Silwija przysłuchiwała się nam z zainteresowaniem.

– Ludzie mają swoje problemy – wtrąciła po chwili. – Biednie tu, przaśnie, ludzie coraz mniej zarabiają, ledwie wiążą koniec z końcem. Kto może, ucieka za granicę. Taka sprawa na krótko wywołuje sensację, kilka dni rozprawia się o niej ze znajomymi przy kawie. Potem pojawiają się inne. Ostatecznie to nie był Bułgar.

– A w Polsce nikt go nie chce – dodał Dimityr. – Nie wiemy, co zrobić z ciałem. Oczywiście, jeszcze nie teraz...

– Nie znaleźliście spadkobierców? Kto po nim odziedziczy mieszkanie? – Zanotowałam w pamięci, żeby spytać o to jutro policjanta z Warszawy.

Znów zaprzeczył skinieniem głowy.

– Ponoć Kościół. Przepisał im wszystko. Sam jak palec. W dzisiejszych czasach niemal nieprawdopodobne.

Czyli nikt nie miał motywu, żeby go zabić. Więc dlaczego nie żyje? Po co kogoś zwabiać do innego kraju i tam pozbawiać życia w tak perwersyjny sposób?

– Przepraszam cię, Silwijo, pewnie cię to nudzi. – Zauważyłam, że Silwija patrzy w bok.

– Fakt. Znam to na pamięć. Wciąż słucham o tym gościu i szczegółach jego śmierci. Ale wy się nie krępujcie. Ja przyniosę deser.

– Masz jeszcze deser? Perwersja...

– Krem karmelowy. – Silwija wyszczerzyła równe zęby. – Moje dzieło. Dimityr go uwielbia. Kiedy jest grzeczny i ładnie poprosi, to mu robię.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

– Wyrosła, co?

Nie da się zaprzeczyć.

– Od kiedy mieszkacie tu razem?

Tak naprawdę chciałam wiedzieć, czy z kimś był. Miałam nadzieję, że się nie zorientuje.

– Od zawsze. Jesteśmy zgodnym rodzeństwem. Nie przeszkadzamy sobie.

– Nie ożeniłeś się?

– Nie. Już mnie o to pytałaś.

– Dlaczego? Jesteś przystojny, masz dobrą pracę.

Nie wyglądał na zdziwionego. Dla Bułgarów to normalne: chcesz coś wiedzieć, pytasz. Nie ma spraw intymnych.

– Jeszcze się ożenię. Mam czas. – Dimityr wzruszył ramionami.

Taką odpowiedzią musiałam się zadowolić. Krem karmelowy okazał się pyszny.

Pasjonująca lektura! Trzyma w napięciu, wzrusza i miążdży.

Katarzyna Bonda

Poznałam pisarstwo Ałbeny Grabowskiej, gdy trafiło w moje ręce *Stulecie winnych*, ekscytująca saga rodziny z podwarszawskiego Brwinowa. W *Kościach proroka* czeka nas o wiele dalsza podróż. Podróż do korzeni chrześcijaństwa, do Ziemi Świętej, Jerozolimy, Judei, do XII-wiecznego Konstantynopola, a wreszcie do współczesnego bułgarskiego Płowdiwu. Wszystko to połączone kryminalno-historyczną intrygą. Brzmi interesująco? I jest interesujące!

Ilona Łepkowska

W Płowdiwie znaleziono zwłoki polskiego posła. Odciętą głowę postawiono na tacy. Polka o bułgarskich korzeniach i młody bułgarski policjant łączą siły. Im bliżej są prawdy, tym większe grozi im niebezpieczeństwo – i tym bliżsi sobie się stają.

Dwunastu bogomilów niesie do Konstantynopola świętą księgę. Czy Cyryl, najsprytniejszy z braci, wypełni swoją misję? I czy obroni się przed urokiem Alissy, powiernicy księżniczki Anny?

Jan Chrzciciel prowadzi uczniów do Jerozolimy. Jeden z nich, kronikarz Ariel, po śmierci Nauczyciela wpada w sidła żony Heroda i jej córki Salome. Czy pomoże mu piękna służąca Danaila?

Trzy splatające się wątki i wiele tajemnic. Czyje kości odkryto na Wyspie Świętego Jana? Co łączy niezwykle znalezisko z morderstwem? I wreszcie kto ukradł świętą księgę bogomilów?



PATRONATY MEDIALNE



lubimyczytać.pl



PORTAL
KRYMINALNY



Cena 39,90